



Zaskakujący pomysł Lisy

Kiedy Martin i Gilbert wypadli z kominka na kamienną posadzkę Dziurawego Kotła, na zegarze zbliżała się ósma wieczorem. Na ich widok dwóch czarodziejów przy barze parsknęło śmiechem, a cztery wiedźmy siedzące najbliżej kominka zaczęły z nich drwić. Obaj pospiesznie powstali, otrzepując szaty z sadzy i starając się zachować resztki godności.

— Nie ma ich! — zawołał z zaniepokojeniem Martin, kiedy dokładnie rozejrzał się po tłumie gości pubu i upewnił się, że przy żadnym ze stolików nie siedzi Lisa.

—Może poszli do pokoju — odparł bez przekonania Gilbert i

słyszając jak to zabrzmiało, pospiesznie dodał: — Wiesz... na ma-
łe co nieco...

— Jesteś odrażający! — fuknął ze złością Martin i bez słowa ruszył na górę.

— No w końcu! — zawołała na ich widok Lisa, gdy tylko we-
szli do pokoju. — Już zaczynałam się martwić!

— O mnie też, maleńka?! — zagadnął zawadiacko Gilbert, a
czarownica zmierzyła go bazyliżkowym spojrzeniem.

— Chcesz podbite oko do kompletu z połamanym nosem?!
— spytała groźnie.

— Uwielbiam ten ciągły ogień między nami! — odrzekł
wesolo Gilbert. Martin westchnął z poirytowaniem i usiadł na
łóżku. Dopiero teraz dostrzegł posępnego goblina, który stał
przy oknie. Sprawiał wrażenie głęboko zamyślonego. Kiedy za-
uważył, że Martin mu się przygląda, wymownie odchrząknął,
przerywając złośliwą wymianę zdań między Lisą a Gilbertem.

— Udało się? — spytała niemal szeptem Lisa, a Martin po-
twierdził kiwnięciem głowy.

— Nazywam się Begrod — powiedział chłodno goblin pod-
chodząc do Martina i podając mu rękę. — Panna Turpin i pan
McDuke już zdążyli mnie poznać.

Nieco zakłopotany Martin uklonił się nisko goblinowi i także
się przedstawił.

— Mam nieodparte wrażenie, że gdzieś już pana widziałem —
stwierdził Begrod, a Martin pobladł na twarzy. *Czyżby on także
widział list gończy?! A co, jeśli się pokapuje? Jak ja się z tego wytłumaczę
Lisie i Gilbertowi?*

— Może przejdźmy do omówienia planu działań — zapropo-
nowała ze zniecierpliwieniem Lisa. Goblin obdarzył ją chłod-
nym spojrzeniem.

— Najpierw obiecana zapłata — odparł stanowczo, a Martin i
Lisa wybałuszyli oczy ze zdumienia.

— A tak, racja! — zawołał Gilbert i ignorując oburzenie Lisy pospiesznie rozpiął spodnie. — Oto i ona! — zawołał, kiedy zanurzył rękę w spodniach i wyjął z nich jakiś sztylet zdobiony rubinami. Martin parsknął śmiechem. Lisa sprawiała wrażenie zde gustowanej.

— Ciekawe rzeczy nosisz w spodniach — rzuciła złośliwie.

— Nawet nie wiesz, jak bardzo ciekawe, maleńka — odrzekł dwuznacznie Gilbert, puszczając do niej oko. — Ale jak będziesz miłutka, to pozwolę ci się o tym przekonać...

— Sztylet! — upomniał się goblin, zanim Lisa zdołała odpyskować. Gilbert wyszczerzył do niej zęby, zapiał spodnie i położył sztylet na łóżku. Goblin przykucnął przy nim, wyjął z kieszeni wielką lupę i zaczął dokładniej przyglądać się ostrzu oraz kamieniom w rękojeści. Martin i Lisa przyglądali się temu w osłupieniu.

— No dobrze. Jest prawdziwy — oznajmił po chwili Begrod.

— Dotrzymałem swojej części umowy — stwierdził z zadowoleniem Gilbert. — Pora żebyś zrobił to samo. W jaki sposób wprowadzisz nas do skarbcza Lestrangle'ów?!

Goblin chwycił sztylet i schował do wewnętrznej kieszeni swojej eleganckiej marynarki. Spojrzał po twarzach zgromadzonych, złapał głębszy oddech i zaczął omawiać plan działań.

Pomysł goblina był całkiem prosty. Martin, Lisa i Gilbert mieli udać się po prostu do banku w celu wydzierżawienia skrytki na najbliższe sto pięćdziesiąt lat. Przy stanowisku numer cztery tego dnia pracować miał Begrod.

— Podejdźcie od razu do mnie. Udam, że dokonuję weryfikacji tożsamości i od razu zabiorę was do podziemi — wyjaśnił stanowczym głosem. — Każdy nowy klient ma prawo samodzielnie wybrać pieczęć do przechowywania swojego majątku. To nie wzbudzi niczych podejrzeń.

— Pora ponownie wcielić się w rolę państwa Blecker — oznajmił wesoło Martin, kiedy spotkanie z goblinem dobiegło końca, a Gilbert zdążył już się gdzieś znowu ulotnić.

— Mam nadzieję, że ta reszta eliksiru, która została wystarczy na nas dwoje — odparła zmartwionym głosem Lisa, potrząsając słoiczkiem na dnie którego znajdowała się odrobina błotnej substancji. Martin usiadł obok niej i popatrzył jej przez chwilę głęboko w oczy. Gorączkowo zastanawiał się, czy nie powinien powiedzieć jej teraz prawdy. *Może Lisa to zrozumie. Może wybaczy mi, że ją oszukiwałem, jeśli sam się do tego teraz przyznam.*

— Dziękuję, że jesteś tu ze mną — rzekł po chwili pełnym wdzięczności głosem. — Wpakowałem nas w niezłe szambo, a ty, mimo to, ciągle mi pomagasz.

Lisa prychnęła, rumieniąc się nieco.

— Od tego ma się przyjaciół, Martin — stwierdziła z przekonaniem. — Ale mam nadzieję, że jutro to wszystko wreszcie się zakończy.

— Ja też na to liczę — westchnął Martin.

Tej nocy Martin spał bardzo kiepsko. Odczuwał silny stres, który wywracał jego żołądek na lewą stronę. Przez długie godziny wpatrywał się w sufit, bijąc się z własnymi myślami. Wciąż miał wątpliwości, czy nie powinien powiedzieć Lisie, kim tak naprawdę jest. Nie miał pojęcia, że leżąca tuż obok niego przyjaciółka również nie spała i gorączkowo rozmyślała nad pomysłem, który nagle wpadł jej do głowy.

— Gdzie się podziewałaś? — spytał z zaciekawieniem Martin, kiedy kwadrans przed ósmą zszedł na śniadanie, a chwilę później Lisa do niego dołączyła, powracając z ulicy Pokątnej.

— Gobliny to strasznie cwane stworzenia — stwierdziła po pospiesznym zjedzeniu jajecznicy. — Nie do końca ufam Begrodowi. Wpadł mi do głowy pomysł, jak ulotnić się z podziemi

banku, jeśli wytnie nam jakiś numer.

Martin obdarzył ją zaintrygowanym spojrzeniem, a ta uniosła niewielką torebkę ze smoczej skóry.

— A niby w jaki sposób to ma nam pomóc? — spytał głupekowo. Lisa westchnęła.

— Magia, Martin! — westchnęła z poirytowaniem. — Na brodę Merlina, ile ty jeszcze musisz się nauczyć... Kompletnie nie masz pojęcia o naszym świecie...

Martin poczuł się urażony.

— Jakieś tam pojęcie mam — stwierdził sucho. — Wczoraj na przykład wyczytałem z jednej z książek, która próbowała mnie pożreć, że skutecznym zaklęciem do pojedynkowania jest *Dre-twota*...

Lisa wymownie odchrząknęła.

— Zawsze to coś — wymamrotała. — W każdym razie to jest torebka *Capacious extremis*... zmniejszająco-zwiększająca... Kupiłam to cudenka w sklepie Weasley'ów... Podobno wynalazła ją sama Hermiona Granger...

Martin nie miał kompletnie pojęcia, o czym mówi jego przyjaciółka.

— Schowałam w tej torebce trzy miotły — wyjaśniła z poirytowaniem Lisa. — W razie czego wylecimy na nich z podziemi...

Martin rozdziawił usta i w osłupieniu przyglądał się przyjaciółce.

— Co schowałaś do torebki? — spytał, a kiedy Lisa wymownie wywróciła oczami, pospiesznie dodał: — Wiesz, na ogół laski noszą w torebkach szminki... puder... galoty na zmianę... ewentualnie smartfona... O miotłach jeszcze nie słyszałem...

— Hermiona Granger miała w swojej torebce pół biblioteki Hogwartu — usprawiedliwiła się Lisa. — Ja ograniczyłam się tylko do trzech mioteł i dwóch książek... znaczy się trzech... no ok, może mam ich tu trochę więcej... ale mogą się przydać...

— To musisz znaleźć jeszcze jakiegoś osiłka, który będzie za tobą dźwigał tą torebkę — zaśmiał się Martin, a kiedy Lisa wyjaśniła mu, że czary pozwalają zniwelować ciężar, zamknął się zupełnie i zaczął z zaangażowaniem dojadać resztki jajecznicy.

O wpół do dziewiątej Martin i Lisa opuścili pokój nad pubem i zdali klucze właścicielce. W grubych płaszczach wyszli na niewielkie podwórze za Dziurawym Kotłem. Pod ceglany murem czekał na nich Gilbert. Sprawiał wrażenie lekko zniecierpliwionego. Martin i Lisa pospiesznie wypili resztki eliksiru wielosokowego, aby po chwili stać się parą zręczliwych staruszków. Gilbert zacisnął zęby i ku zdumieniu przyjaciół zmienił się w rudego zarozumialca, którego Martin i Gilbert spotkali w Ministerstwie Magii.

— No to zaczynamy — powiedziała Lisa, biorąc głęboki oddech i uderzyła w kilka cegieł różdżką, odsłaniając w ten sposób ukrytą przed mugolami ulicę.

Mimo stosunkowo wczesnej pory, Pokątna tętniła życiem. Większość sklepów była już otwarta a wewnątrz nich tłoczyli się pierwsi klienci. Przy sklepie ze sprzętem do quidditcha zebrali się nastoletni czarodzieje, zafascynowani miotłami na wystawie. Grupy chichoczących dziewcząt wpatrywały się w witrynę sklepu z kociołkiem pełnym eliksiru miłosnego, co chwilę szepcząc między sobą.

Martin–Frank z zachwytem rozglądał się na wszystkie strony, nie mogąc nasycić oczu niezwykle widokami. Z trudem przepychał się przez tłumy na ulicach, nie zwracając najmniejszej uwagi na Lisę–Grafindę i Gilberta–rudzielca, którzy z trudem za nim nadążali.

— Zwolnij trochę! — warknęła w końcu z oburzeniem jego przyjaciółka. — Pamiętaj, że stuknęła ci siedemdziesiątka, Frank!

— I nie gap się tak na wszystkie strony, jakbyś był tutaj po raz

pierwszy! — dodał Gilbert–rudzielec.

— No, ale ja jestem tutaj po raz pierwszy! — odparł wesoło Martin–Frank, przystając obok witryny sklepu z magicznymi dowcipami Weasley'ów i z zachwytem dziecka wlepiając w nią swój pomarszczony nochal.

— Ale Frankowi Blecker przez siedemdziesiąt lat ta ulica z pewnością zdażyła się już znudzić! — oburzyła się Lisa–Grafin-da, podchodząc do przyjaciela i łapiąc go za ramię. — Zachowuj się stosownie do wieku! Zwracasz na siebie zbyt dużo uwagi!

— Percy, a co ty tutaj robisz?! — zdziwił się jakiś rudy czarodziej z przerzedzonymi włosami, który nagle wyszedł ze sklepu i wpadł prosto na Gilberta–rudzielca. Państwo Blecker aż podskoczyli z przerażenia. Zerknęli z lękiem, na towarzysza, który natychmiast poczerwieniał na twarzy.

— To chyba nie jest twoja sprawa, co?! — odrzekł, próbując naśladować zarozumiały i wyniosły ton, z którym prawdziwy rudzielec zwracał się do nich w Ministerstwie. Martin–Frank poczuł, jakby żołądek wywrócił mu się na drugą stronę. *Dawno nie było żadnych komplikacji*, pomyślał. Zerknął na Lisę–Grafindę i spostrzegł panikę na jej twarzy. Rudy czarodziej już miał coś odpowiedzieć, ale ze sklepu wyszedł akurat kolejny mężczyzna.

— Ron, zapomniałeś paczki dla Hugo! — zawołał, podając niewielki pakunek temu pierwszemu. — Cześć Percy! — dodał na widok Gilberta–rudzielca. — Czyżby Kingsley znowu wysłał cię do banku?

— Ta, jasne — odrzekł pospiesznie metamorfomag i nie czekając na reakcję nieznanym, pędem ruszył przed siebie. Państwo Blecker podpierając się laskami dogonili go dopiero pod śnieżnobiałym budynkiem, który wyrastał ponad okoliczne sklepy.

— To był Ronald Weasley, zastępca szefa aurorów — wyjaśnił Gilbert–rudzielec. — I jego brat George.

Para staruszków wymieniła między sobą zaniepokojone spojrzenia.

— O, świetnie. Do kompletu brakuje nam jeszcze tylko Hermiony Granger! — zakpił Martin–Frank, który przypomniał sobie spotkanie z Harrym Potterem w windzie Ministerstwa Magii.

— Musiałeś się przemienić akurat w Percy'ego Weasleya?! — warknęła z oburzeniem Lisa–Grafinda, co wyglądało dość komicznie, biorąc pod uwagę, że przygarbiona staruszka robiła właśnie reprimendę poważnemu urzędnikowi Ministerstwa.

— Racja! Zmień coś w swoim wyglądzie! — dodał z naciśkiem Martin.

Kiedy zdołali wspiąć się po białych, kamiennych schodach, Gilbert–rudzielec miał już zupełnie inny nos i usta. Teraz przypominał raczej skrzyżowanie kartofla z wiewiórką. Podeszli do drzwi z brązu przy których stał goblin w szkarłatno–złotej libe-
rii.

— No to zaczynamy zabawę — rzucił Gilbert–rudzielec, kiedy goblin uklonił się im nisko i otworzył szeroko drzwi wejściowe.